Kraków, 12-go lipca 1914 r.

Rok 10. Nr. 14

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 28.

Dzieci kochane!

Otóż znowu macie wakacye! Miły ten czas wypoczynku, zabawy dla tych, co przez cały rok pilnie się uczyli, a leniuchy? Oj, ci sobie wakacye zrobili w ciągu całego roku, próżnowali, nie chcieli się uczyć. A teraz smutni patrzą na towarzyszów, co idą po wakacyach do wyższej klasy. Pewnie, że wśród zabaw i rozrywek wakacyjnych sumienie nieraz im szepnie, że nie zasłużyli na odpoczynek, bo się nie spracowali. A wyrzut sumienia, przykra i bolesna rzecz i psuje dziecku najlepszą i najmilszą zabawę. Jedna tylko pociecha dla leniuchów, że po wakacych mogą się wziąć do pracy pilnie i poprawić się. A poprawić się trzeba koniecznie. Czekają na tę poprawę rodzice i nauczyciele, a co najważniejsza czeka Bóg, Który w pamięci Swej zapisuje każdy dzień dobrze spędzony, aby za niego wynagrodzić — ale zapisuje i każdą przepróżnowaną, zmarnowaną godzinę — i jeżeli nie zobaczy poprawy, będzie musiał karać leniwców. Więc dzieci kochane, strzeżcie się lenistwa i już teraz podczas wakacyi okażcie poprawę przez to, że nigdy nie opuścicie pacierza rannego ani wieczornego ani nie zaniedbacie wysłuchać Mszy św. w niedziele i święta. Dobrze by było, abyście i codzień Mszy św. wysłuchały, jeżeli tylko mieszkacie niedaleko od kościoła. Wielkie łaski wyprosić sobie możemy przez słuchanie pobożne Mszy św. Więc o ile możecie, korzystajcie z czasu wolnego podczas wakacyi i spieszcie na Mszę św. i w dnie powszednie!

PLISZKI.

(Ciąg dalszy.)

Krowy bywały wówczas takie łagodne, takie wdzięczne za to, że je uwalniano od złośliwych gości, że nie ruszały nawet ogonem. A ptaszyny przeskakiwały z ich karków, czekając, by bąki uleciały, gdyż najprzyjemniej było chwytać je w powietrzu.

Rozważywszy sobie te wszystkie dogodności swego mieszkania, pliszki chwilę posiedziały spokojnie, rozglądając się wokoło. Poczem samczyk serdecznie powinszował swej towarzyszce szczęśliwego powrotu do ojczyzny i przywitał ją w domu, a ona odpowiedziała mu w ten sam sposób. I zaczęły dreptać po swem dawnem gospodarstwie. Zajrzały do gniazda pod deską u sufitu. A jakże! znajdowało się tam jeszcze; wprawdzie nieco spłaszczone i rozwichrzone, ale niewiele wymagać będzie naprawy. Należało się jeszcze rozejrzeć, czy wogóle nie zaszły tu jakie zmiany i jak tam było z żywnością!

Przybyły tu widocznie bardzo wcześnie tego roku. Snieg pokrywał jeszcze grubemi warstwami wyżyny, a owadów, o ile mogły zmiarkować, było jeszcze bardzo niewiele. Nie mogły pojąć, jak szpaki, które przecież także żywiły się jedynie owadami, mogły sobie dać radę: toć one przybyły wtedy jeszcze, kiedy śnieg leżał nietylko na wierzchołkach, ale i dalej.

Teraz już nie było tak źle. Na łąkach poczynały się ukazywać jasno zielone źdźbła trawy, w pobliżu zaś obory były one już nawet gęste i dość wysokie.

Wkrótce pliszki kołysały się na stosie kamieni przed zabudowaniami gospodarskiemi i zawzięcie ze sobą świergotały. Lecz kiedy spoczęły, wydało się samczykowi, że zauważył niewielki cień, który skrył się natychmiast do nory pod kamieniami. Ostrzegł więc swą towarzyszkę i odtąd baczniej rzucali wzrokiem wokoło. Czyżby to była myszka? Lecz właśnie spostrzegli wąską dróżkę, prowadzącą od stosu kamieni do dziury pod chatą pastwiska. Nie była to więc mysz.

Samczyk szybko przefrunął na drugą stronę. Teraz poznał nieznajomego; ten wysunął się właśnie dla łatwiej-

szego przypatrywania się nowym gościom, iż nie zdążył nawet cofnąć się wczas i ukryć w swej norze. Zaskoczony niespodzianie, mlasnął tylko parę razy języczkiem, cofnął się nieznacznie, wyjrzał z innej dziury, zmrużył oczy i ukrył się znowu.

Zaświergotały ku niemu, lecz nie ruszały się z miejsca. Mogły się śmiało przywitać i zaznajomić, bo pomimo, że gronostaj był bardzo żwawy, nie był jednak dość żywym, aby móc schwytać pliszkę. On sam dobrze o tem wiedział i nie próbował też tego nigdy. Mogły się spokojnie przyjaźnić, nie obawiając złego końca.

A jednak — nie bardzo je ucieszyło to sąsiedztwo, Sprowadził się tu tego roku dopiero, bo w zeszłym mieszkał dalej, nad samą rzeką. Na dach nie potrafiłby się dostać. a chodziło mu wszakże o ptasie jaja, które pragnął wykradać; kradł zaś tak zręcznie, że się tego prawie nie spostrzegało. Znały drozda, który cały rok zeszły siedział na jajach w niskim lasku sosnowym, nie opuszczał gniazda ani na chwilę prawie, jednak przez całe lato jaja gdzieś mu się podziewały.

Pliszki zaczęły się naradzać, czy wobec tego sąsiedztwa możliwem będzie skorzystać ze starego gniazda. Otwór, przez który można się było doń dostać, był wprawdzie bardzo niewielki, ale gronostaj był także maleńki, i mógł również przedostać się każdą szparą, jaka dla pliszek wystarczała.

Wzleciały w górę, wsunęły się pod sufit w szopie i wyglądały przez szpary, każde ze swej strony. Właśnie gronostaj wychylił się z nory prawie do połowy, uniósł łebek i przyglądał się uważnie. Ciekaw był zapewne, co sąsiedzi teraz poczną.

W istocie należało wynaleźć inne miejsce zamieszkania, gdzieby się mogły dostać, nie będąc widzianemi, a jednocześnie takie, do którego on nie miałby dostępu. Ale w takim razie koniecznym był pośpiech, bo trzeba było budować gniazdo od samego początku, a robota nie mogła trwać zbyt długo, gdyż młode powinny były być zupełnie wprawione i gotowe do lotu, kiedy na jesieni wypadnie powędrować w ciepłe kraje.

Pofrunęły każde w swą stronę i zaczęły szukać. Żaden dach nie był odpowiednim na gniazdo. Należało znaleźć miejsce, do któregoby dostać się było można jedynie przy pomocy skrzydeł. Niezadługo powróciła samiczka, bardzo zadowolona, twierdząc, iż znalazła coś nadającego się znakomicie do tego użytku.

Znajdowało się to wewnątrz samej obory. Było to niewielkie jakby korytko, zawieszone, czy też przytwierdzone jednym końcem do środka pułapu, tak wysoko, iż ludzie i bydło mogli swobodnie pod nim przechodzić. Stanowczo było ono odpowiedniem i wielkością i głębokością swoją do zapełnienia słomą, włosem i puchem, tak, iż utworzyłoby zręczne gniazdko. Wprawdzie nie było tak wysoko, aby człowiek nie potrafił go dosięgnąć ręką, ale pocóż zaraz przewidywać, że wpadnie to komu na myśl? Krów pliszki się nie obawiały, zaś gronostaj nie ośmieli się tu wejść, nawet gdyby odkrył ich nowe schronienie.

Tak, w istocie, było to dobre odkrycie. Natychmiast zabiorą się do budowy, tylko postarają się nie zdradzić z tem przed gronostajem; będą udawały, iż budują w dawnem miejscu. Szybko zaczęły znosić słomę, przenosiły ją tuż obok stosu kamieni, aby gronostaj je widział, wlatywały frontową stroną, wylatywały tylną, gdzie nie mógł ich zauważyć i przez szeroką szparę dostawały się do wnętrza obory.

Pracowały pilnie, lecz korytko nie było tak maleńkiem, jak im się w pierwszej chwili wydało i kilka dni upłynęło, zanim nazbierały dość słomy. Gdy z tem skończyły, pozostała mniejsza część roboty, bo używały włosów i puchu ze starego gniazda i pracowały uważnie, zbierając każde źdźiebełko puchu, jakie spadło z nich samych podczas tej ciężkiej pracy. I wreszcie skończyły! Wtedy pozwoliły sobie na krótką wycieczkę dla odwiedzenia młodej parki.

Ta nie próżnowała. Mieli już cztery prześliczne jajeczka, jutro będzie ostatnie, a pojutrze zaczną je wygrzewać, wysiadywać. Stara matuś, przyglądając się jajeczkom, musiała przyznać, że były udatne. Jednakże nie sądziła, aby młodsze pokolenie potrafiło ją wyprzedzić więcej, niż o cztery dni. Toć ona potrafi codziennie złożyć jedno jajko, gdy tylko się do tego zabierze. (Ciąg dalszy nastąpi).

Pestki wiśniowe.

Mały sześcioletni Jasio pomagał ogrodnikowi w ogrodzie i zato dostał kilka garści dojrzałych, czerwonych wisienek. Ucieszył się Jasio, że zarobił sobie taki wspaniały podwieczorek i zostawiwszy część wisienek dla mamy, resztę zjadł z apetytem. Nie na tem jednak był koniec z wisienkami. Widział raz Jasio, jak ogrodnik na wiosnę zasiewał różne pestki z wisien i śliwek w ziemię, i dowiedział się od niego, że z tych pestek wyrosną znów drzewa. Jasio postanowił tak samo zrobić.

Postąpił tak, jak mu poradził ogrodnik: schował pestki do piwnicy w wilgotny piasek, przykrył staremi gałązkami, żeby zabezpieczyć od myszy i czekał wiosny.

W jesieni i w zimie Jasio chodził do szkoły, gdzie razem z rówieśnikami uczył się czytać z książki i pisać w zeszycie, a lekcje tak go zajęły, że zapomniał nawet o pestkach; dopiero na wiosnę, gdy już ludzie wyszli w pole, przypomniał sobie o nich i pobiegł do piwnicy. Jasio wybrał w podwórzu kawał dobrej ziemi, skopał, spulchnił, zrobił grzędę, na której w małe rowki powpuszczał nasiona. Przykrył je następnie gałęziami, żeby kury szkody nie zrobiły, i często w czasie suszy podlewał. Po paru tygodniach na grządce ukazały się drobne listki. Cieszył się Jasio, że praca jego nie poszła na marne i całe lato pielęgnował grządkę.

W jesieni z pestek były już małe drzewka na kilka cali wysokie. Na drugi rok na wiosnę Jasio drzewka poprzesadzał, ale już nie na grządkę, tylko w ogródku na parę łokci jedno od drugiego.

Tak przeszło kilka lat. Jasio uczył się już w mieście, daleko od domu, i nie mógł pielęgnować swoich drzewek, ale wyręczała go w tem siostra. Drzewka rosły dobrze: po paru latach zakwitły pierwszy raz.

Ślicznie wyglądał teraz ogródek, w którym aż biało było od kwitnącyh drzew. A jaką radość miał Jasio, gdy, po przyjeździe z miasta na lato, mógł jeść wiśnie ze swego własnego ogrodu! Jaś obdzielił wisienkami swoich kolegów, radził im, żeby pestki swe schowali, i tak jak on, na

wiosnę posieli w ogródku. Koledzy Jasia zgodzili się na to, a nawet zachęcili innych.

W lat kilkanaście potem trudno było poznać wioskę. Dawniej domy stały same, nagie, wieś miała smutny wygląd, a teraz, koło każdego domu jest ogródek, cała wieś jak wianek zielony wygląda. Mają teraz ludzie i chłód w lecie i owoc smaczny.

DESZCZYK.

Wiatr się zerwał z zachodu,
Kurz przed sobą precz goni,
Strącił gałęź z olszyny
I moc jabłek z jabłoni.

Deszczyk zaczął pokrapiać,
Wreszcie lunął jak z cewki,
Zmoczył ptaszki na polu,
Zlał zagony, przysiewki.

Ludzie w polu, po drogach
Deszcz wysmagał dowoli, —
Lecz nikt na to nie sarka:
Deszczu trzeba do roli.

Rosnąć będą siarczyście
Kartofelki i zboże —
Dzięki Bogu za deszczyk,
Będzie pełniej w komorze!

Odważny rycerz.

Raz, na murawie, w cichej dolinie, gdzie szumią olchy, gdzie struga płynie, kędy skowronek wzlatuje w górę, chodziły gąski śnieżystopióre. Jagna je pasie — dziewczątko małe, co ma, jak płótno, włosięta białe. Chodzi Jagusia precz za gąskami i pośpiewuje sobie czasami: hej! lala!

lala! gąseczki moje, lećcie na wodę, lećcie na zdroje. Obok pies, Bukiet, zasnął troszeczkę, pilnując gęsi i gęsiaraczkę.

Do tej doliny, w samo południe, weszła panienka ubrana cudnie, od wstąg różowych cała jaśniała, w ręku wiaderko blaszane miała. Przy niej paniczyk szedł wymuskany, w spodeńki nowe ślicznie ubrany, szabelką ostrą dzielnie wywijał, kwiatom i ziołkom łebki obijał. Tak wędrowali w sosnowy borek panna Irenka i pan Wiktorek.

Skryła się Jagna przed gośćmi trwożnie i z pod fartuszka patrzy ostrożnie. Widząc jej przestrach, Wiktorek mężny, porwał od boku swój miecz mosiężny, na nieci. Zmykają w trwodze żabki, świerszczyki, motyle, muchy, polne koniki. Lecz za to piesek i gąsek stado, widząc Jagusię drżącą i bladą, z krzykiem zwrócili się na rycerza, co ich gosposię przebić zamierza. Więc biegnie Bukiet, szczerząc zębiska, szczeka i groźnie oczami błyska, i stary gąsior, lecąc na przedzie, długi sznur gąsek do boju wiedzie.

Czuje Wiktorek, że sprawa kusa, rzuca miecz srogi i daje susa, w las przed gąskami zmyka jak zając, rowy i doły w mig przesadzając, nie bacząc nawet na majtki nowe, jak gdyby buty wdział stumilowe. Oj, zmykał, zmykał, aż się kurzyło, w biegu przewrócił Irenkę miłą, więc się nad biedną Bukiet zlitował i łezki rzewne z buzi zcałował...

Wąż wodny czyli zaskroniec.

Zginęła raz France gąska siodłata. Odbiła się od stadka i przepadła gdzieś w krzakach.

Biedna dziewczyna zmartwiła się okrutnie, zapędziła stadko na południe do chałupy, a sama pobiegła szukać siodłatej.

Brodzi Franka nad rzeką po mokradłach, zarosłych kępami mchu, gąski nawołuje, aż nagle staje zdumiona.

— Rety, co to?!

Oto na ziemi, wśród wilgotnego mchu, widzi cały rząd jajek. Niewielkie one, jak gołębie, ale leżą jedno na drugiem równiutko, połączone jakąś masą, niby galaretą.

Chce je Franka wziąć, wyciąga rękę, ale ledwie dotknęła jajka, znów zdumiała się niezmiernie. Jajka nie miały skorupek, jeno miękką błonkę.

— Nie będę ich ruszała, niech leżą, obaczę, jakie też się ptaki z tego wylęgną.

Pobiegła Franka dalej, znów szuka, znów woła, aż wreszcie siodłatą znalazła i zapędziła ją do domu.

Nazajutrz przyszła Franka znów na moczary. Rozchyla krzaki, jajek onych szuka... wreszcie je ujrzała.

Podbiega bliżej, nachyla się i oczom własnym nie wierzy: z jajek wysuwają się małe wężyki. Tyle tego aż się roi!

Porwała się z miejsca przerażona Franka i jęła uciekać tak szybko, aż spódniczynę podarła o gałęzie.

Nie miała się coprawda Franka czego bać. Jajka te były złożone przez węża wodnego, czyli zaskrońca. Nazwano go zaskrońcem dlatego, że na tyle głowy, za skroniami, posiada dwie żółtawe plamy.

Z jajek teraz wylęgły się jego dzieci-wężyki, zupełnie podobne do matki, tylko małe.

Zaskrońce żyją u nas nad wodami. Umieją one doskonale pływać, a żywią się żabami i rybkami, które chwytają w wodzie.

Zaskroniec jest barwy błękitnej lub szarej w czarne plamy. Zwyczajem wszystkich węży, kilka razy do roku zrzuca wierzchnią część skóry.

Bez obawy można go wziąć do ręki, bo choć posiada liczne haczykowate ząbki, nie kąsa jednak i zupełnie nie posiada jadu.

Z pyszczka często wysuwa długi, rozwidlony języczek i porusza nim szybko. Jestto jego organ dotyku.

Węża wodnego łatwo można obłaskawić i hodować w domu.

